

ALBATROS

Wielki Świat

PIERRE
LEMAITRE

PRZEŁOŻYŁA
JOANNA
POLACHOWSKA



Tytuł oryginału:
LE GRAND MONDE

Copyright © Calmann-Lévy 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Joanna Polachowska 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Korekta: Dorota Jakubowska, Piotr Królak

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: dnbr/Freeipik (*postać kobiety*); pikisuperstar/Freeipik (*kot*);
dreammachine/Freeipik (*wieża Eiffla*); dreammachine/Freeipik (*wzór geometryczny*);
user21744126/Freeipik (*postać z rowerem*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Skoro postanowiłeś wyjechać

Z biegiem lat rodzinna procesja krocząca po avenue des Français występowała w różnych wariantach, ale nigdy jeszcze w postaci żałobnego konduktu. Pomijając to, że pani Pelletier była jak najbardziej żywa, odnosiło się wrażenie, że w tym roku odprowadzana jest na miejsce ostatniego spoczynku. Jej mąż szedł jak zwykle na czele pochodu, krokiem, który wydawał się tym bardziej uroczysty, że jego żona wlokła się daleko za nim, ciągle przystawała i wysyłała synowi, Étienne'owi, spojrzenia osoby konającej, która błaga, by ją dobić. Za nimi sztywno kroczył najstarszy Jean, nazywany Miśkiem, wraz z drobiącą u jego boku małżonką Geneviève. Procesję zamykali François i Hélène.

Na czele pochodu pan Pelletier z uśmiechem pozdrawiał wędrownych handlarzy arbuźów i ogórków, unosił dłoń, witając czyścicieli butów; można by przysiąc, że to człowiek zdążający na własną koronację, co nie całkiem odbiegało od rzeczywistości.

Pielgrzymka Pelletierów odbywała się, niezależnie od pogody, w pierwszą niedzielę marca. Dzieci znały ją od zawsze. Można było przeoczyć ślub sąsiada, noworoczny obiad, wielkanocnego baranka; nie do pomyślenia było jednak pominięcie rocznicy powstania fabryki mydła. W tym roku pan Pelletier opłacił nawet

bilety powrotne z Paryża, by upewnić się co do obecności François, Jeana i jego żony.

Rytuał obejmował:

Akt I: powolna przechadzka aż do fabryki, przewidziana głównie na użytek sąsiadów i znajomych.

Akt II: wizyta w pomieszczeniach fabryki, którą wszyscy znali na pamięć.

Akt III: powrót po avenue des Français z postojem w Café des Colonnes na aperitif.

Akt IV: rodzinny obiad.

– Tym sposobem zamiast raz wkurzamy się cztery razy – miał François.

Trzeba przyznać, że po wyjściu z fabryki słuchanie pana Pelletiera w kawiarni było dość uciążliwe. Ten zafundował wszystkim kolejkę i opowiadał o głównych etapach budującej rodzinnej historii sięgającej od pierwszego Pelletiera (którego obecność u boku marszałka Ney'a podobno została potwierdzona) aż po niego samego i firmę Pelletier i Syn, która w jego oczach stanowiła ukoronowanie dynastii.

Louis Pelletier był spokojnym człowiekiem, z rodzaju tych, co to niełatwo tracą zimną krew. Mały szpakowaty wąsik nad wyrazistą linią ust, którą odziedziczyły po nim wszystkie jego dzieci, pasował do niemal białych, starannie uczesanych włosów, z których był bardzo dumny. „Po czterdziestce wszyscy mężczyźni w rodzinie byli łysi!”, przypominał z dumą, jakby to, że on nie wyłysiał, było dowodem na to, że w jego osobie ród Pelletierów osiągnął apogeum. Wąskie ramiona kontrastowały z biodrami, które z wiekiem przybrały na szerokości. „Mógłbym reklamować Saint-Galmier”, żartował czasami, nawiązując do butelek z wodą gazowaną, których wąska szyjka nieodparcie rozszerzała się ku dołowi. Wyczuwało się w nim pogodną energię, a także pewien rodzaj dyskretnej satysfakcji, że mu się powiodło. W latach dwu-

dziestych nabył niewielką wytwórnię mydła i rozwinął ją, „łącząc rzemieślniczą jakość z przemysłową wydajnością” – lubił takie sentencje. W jego poczuciu przeznaczeniem tej manufaktury, leżącej o rzut beretem od place des Canons, było zdobycie pozycji wiodącego przedsiębiorstwa przemysłowego miasta. Za kilka lat Pelletierowie będą w Bejrucie tym, czym Wendelowie w Lotaryngii, Michelinowie w Clermont, a Schneiderowie w Creusot. Z czasem trochę zmiętygował swoje ambicje, ale chełpił się, że dowodzi „okrętem flagowym libańskiego przemysłu”, czego nikt nie miałby serca kwestionować. Z biegiem lat nieustannie wprowadzał innowacje, dodając do tradycyjnych receptur oleje kokosowy, palmowy i bawełniany, dopracowując warunki suszenia, modyfikując użycie kwasu oleinowego i tak dalej.

Lata trzydzieste były pomyślne dla firmy Pelletier, która kupiła kilka małych wytwórni w Trypolisie, Aleppo i Damaszku. Fortuna Pelletierów była bez wątpienia dużo znaczniejsza, niż wskazywałby na to ich dość skromny styl życia.

Zarządzanie filiami powierzono dyrektorom, ale nadzoru nad jakością produkcji Louis Pelletier nie zostawiał nikomu. Poczytywał za swój obowiązek wizytowanie oddziałów firmy; niekiedy zjawiał się tam bez uprzedzenia, pobierał próbki, analizował i modyfikował proces produkcji.

Twierdził, że nie przepada za podróżami. „Jestem raczej domatorem”, tłumaczył się. Pełnił jakieś bliżej nieokreślone funkcje w stowarzyszeniu kombatantów, które zmuszały go do wyjazdów do Paryża, lecz najwyraźniej nie miały większego wpływu na egzystencję Louisa; cała jego energia i duma, cały talent ogniskowały się na fabryce i jakości „jego mydła”. Nic nie uszczęśliwiała go bardziej niż patrzenie na dymiące kotły, w których jego ludzie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nadzorowali temperaturę, i podziwianie rynien, którymi płynne mydło spływało do kadzi. Krojenie go na kostki i bloki wzruszało go do łez. „Na chwilę

się z wami zamienię”, mówił czasami do pracownika na końcu taśmy, który o nic nie prosił. I wtedy można było zobaczyć, jak właściciel fabryki staje przy urządzeniu do krojenia, przesuującym w jego stronę kostki zielonego mydła, na których stuknięciem drewnianego młotka – niezbyt słabym, ale też niezbyt mocnym – przybijał stempel firmy Pelletier przedstawiający budynek fabryki okolony liśćmi cedru. Pani Pelletier kierowała personelem, nadzorowała dostawy surowca i wyjazdy ciężarówek oraz prowadziła rachunki. Domeną jej męża była natomiast produkcja. Nierzadko w środku nocy wsiadał na rower (nigdy nie próbował prowadzić samochodu) i jechał do fabryki, by osobiście uczestniczyć w pobieraniu próbek, które wraz z dyżurnym majstrem potrafił omawiać aż po błąd świt.

Twierdził, że firma Pelletier narodziła się z dniem uruchomienia pierwszego wielkiego pieca z kadzią, którą nazwał Ninon, przez skojarzenie, jak utrzymywał, z *Niña*, pierwszą z trzech karaweli Krzysztofa Kolumba; imię to zostało wygrawerowane na miedzianej tabliczce umieszczonej u podstawy kadzi oznaczonej emblematem firmy. Kiedy dwa lata później drugą kadź ochrzcił Castiglione, pani Pelletier zmarszczyła brwi, nie bardzo widząc w tym związek z odkryciem Ameryki. Instalacja trzeciej kadzi – o nazwie Paiva – wprawiła ją w konsternację. Pani Pelletier zasięgnęła rady François, który uchodził za rodzinnego intelektualistę, ponieważ zdał maturę szybciej niż jego rówieśnicy.

– Te nazwy mają związek z damami z półświatka, mamo. Z Ninon de Lenclos i Virginią de Castiglione. Paiva to pseudonim kobiety, która nazywała się Esther Lachmann. Mówiono o niej: *Qui paie y va**.

Pani Pelletier rozdziawiła usta.

– To te kobiety...?

* W wolnym tłumaczeniu: „Kto zapłaci, ten dostanie”.

– Tak, mammo – spokojnie potwierdził François. – To te kobiety...

– Ależ skąd! – zaprzeczył pan Pelletier, gdy go o to zapytano. – To kurtyzany, Angèle. Nazwałem tak piece, bo to moje kochaneczki, i tyle...

– Dziwki, i owszem.

– Tak, to też... Ale...

Pani Pelletier lubiła przedstawiać małżonka jako mężczyznę wiarołomnego. Musiało jej to schlebiać. W rzeczywistości Louis nigdy jej nie zdradził, lecz nie przepuściła okazji, by napiętnować publicznie jego skoki w bok, całkowicie fikcyjne, o czym dobrze wiedziała. Tak było na przykład z tym, że udając się do Paryża, jej mąż zawsze zatrzymywał się w Hôtel de l'Europe. Często chwalił miłe przyjęcie u pani Ducrau, hotelarki, którą pani Pelletier nazywała zwykle „kochanką mojego męża” lub w rozmowie z dziećmi „kochanką waszego ojca”. Louis zawsze protestował: „Pani Ducrau musi mieć ze dwieście lat, Angèle!”, ale zbywała ten argument machnięciem ręki mówiącym „Bujać to my, a nie nas”.

W tym momencie pani Pelletier miała zupełnie inne zmartwienie niż kochanki męża czy nazwy trzech wielkich kadzi do warzenia mydła: przetrwanie.

Jej zdaniem nie było wcale pewne.

Minęli dopiero meczet Medjidié. Fabryka wydawała się niedosiężnym horyzontem.

– Zostaw mnie, Étienne, ja...

Już miała powiedzieć „Zaraz wyzionę tu ducha”, lecz powstrzymała ją przed tym resztki przytomności umysłu i poczucie śmieszności (ciągle mijali znajomych). Zwolniła tylko kroku i przyłożyła do skroni chusteczkę. Morskie powietrze owiewało miasto wiosennym chłodem, nikt się nie pocił, nawet ona. Niemniej dała Étienne’owi znak, by zatrzymał sprzedawcę napojów chłodzących i kupił dla niej szklankę wody o smaku tamaryndowca; wypila

ją ze zrezygnowaną miną, jakby to była cykuta. Oprócz lekkiego uniesienia kapelusza i przesunięcia palcem po czole nie miała innego sposobu na zademonstrowanie, jak bardzo dokucza jej zmęczenie. Po raz kolejny przystanęła z ręką na sercu, próbując złapać oddech. Étienne ze zrezygnowaną miną odwrócił się do Hélène: nic się na to nie poradzi. Odejście z domu kolejnych dzieci było jak gwoździe, które każde z nich wbijało w serce matki.

– Ależ, Angèle, nasi malcy są już duzi – argumentował pan Pelletier. – W końcu to normalne, że opuszczają dom...

– Nie opuszczają domu, Louis. Oni uciekają!

Opadały mu ręce. Jego żona dysponowała zasobami kazuistycznych argumentów, których nigdy do końca nie zgłębił.

– Dobrze już, dobrze... – wydyszała pani Pelletier. – Nie zajmuj się mną.

Étienne przestał odpowiadać, tylko lekko ucisnął jej ramię, zachęcając, by mimo wyczerpania szła dalej. Krok za krokiem i w końcu dotrą na miejsce. To jemu przypadło zadanie podtrzymywania matki, ponieważ tym razem on był sprawcą – zawinił.

Ci wcześniejsi wciąż żyli w rodzinnej pamięci.

Kiedy dwa lata temu François zawiadomił rodziców, że chce wyjechać do Paryża, żeby studiować w École normale supérieure, jego matka padła jak długa na posadzkę w kuchni.

– To bardzo dziwne... – zaryzykował doktor Doueiri, który dotąd leczył wyłącznie przypadki oparzeń słonecznych i bronchitu, człowiek dość głupi, niezmiennie zatrwożony problemami zdrowotnymi pacjentów, wyróżniający się tylko w grze w belotę.

François musiał spędzić cały dzień u wezgłowia matki, wysłuchując jej lamentów, póki nie zasnęła. Żaliła się na niewdzięcznego syna i powtarzała, że ta rodzina ją zabije.

– A ty oczywiście nawet się nie odezwiesz – wyrzucała mężowi.

– Mimo wszystko École normale... – odpowiadał niejasno, ale szybko wsiadał na rower i zwiewał do fabryki.

Kiedy pani Pelletier w końcu zgodziła się wstać, François czekała inna, niewiele mniej przykra przeprawa, polegająca na patrzeniu, jak matka szykuje jego kufer podróżny. „Skoro postanowiłeś wyjechać...”, mruzczała pod nosem dziesięć razy dziennie, gromadząc, sortując, wybierając sterty bielizny i zapasy jedzenia. Ta operacja, przypominająca szykowanie wyprawy ślubnej, nie miała końca. Matka unosiła się gniewem z powodu drobiazgów, z hałasem odkładała przedmioty, jej popłoch przeradzał się w złość. François przestał być pełnoletnim chłopcem, którego ze smutkiem żegnano; stał się wyrodnym synem wyrzucanym za drzwi.

W rzeczywistości matka wyrównywała z nim stare porachunki. Wciąż jeszcze stał jej ością w gardle zostawiony na komodzie list w majowy dzień w 1941 roku, kiedy François uciekł z domu, by dołączyć w obozie Qastinah do generała Legentilhomme’a i zaciągnąć się do I Lekkiej Dywizji Zmechanizowanej Wolnej Francji. Dziwne, ale tamto pierwsze odejście rozumiała lepiej. Wyjechał na wojnę, co w sumie było zaszczytne, a nie na studia, które równie dobrze mógłby skończyć w Bejrucie.

– Nie, mamu – tłumaczył François. – Tutaj to niemożliwe...

– Tak, no jasne! Tutejsza uczelnia jest nie dość dobra dla „panicza”!

Kiedy wszedł na statek z dwoma do pełna załadowanymi kufkami, pani Pelletier zachowywała się spokojnie i poważnie. „Dbaj o siebie, dobrze?”, szepnęła mu do ucha. Louis obawiał się, że żona zostanie na nabrzeżu, dopóki statek nie zniknie całkiem z oczu, ale gdy tylko odbił od brzegu, ujęła męża pod ramię i powiedziała: „Mam nadzieję, że będzie pisał”.

Wróciła do swoich zajęć i żał z powodu wyjazdu syna stopniowo tracił na intensywności. Tym bardziej że François udało się dostać do École normale. Nastąpiło coś w rodzaju przedawnienia i znów zaczęła być dumna z syna – w końcu to jej po części zawdzięczał swój sukces.

Zaledwie osiemnaście miesięcy po wyjeździe François najstarszy syn, Jean, obwieścił, że zamierza z żoną opuścić Bejrut i osiąść w Paryżu.

– Ach, więc ty też? – mruknęła Angèle.

Położyła się do łóżka, nie chciała nikogo widzieć, jego również.

Doktor Doueiri doradził, jak zwykle bez sensu, moczenie stóp w sodzie oczyszczonej. Doueiri to idiota, pomyślał Louis to, o czym już wszyscy wiedzieli.

Wyjazd Miśka zranił Angèle w mniejszym stopniu niż opuszczenie domu przez młodszego syna. W ciągu poprzednich miesięcy Jean był bardzo nieszczęśliwy, szukał odosobnienia i matka go rozumiała. Kiedy oznajmił, że wyjeżdża, nie opuszczała sypialni, bo nie chciała, by pomyślał, że z powodu jego wyjazdu cierpi mniej niż wtedy, gdy przyszło im się rozstać z François.

Czekając, aż żona opuści w końcu sypialnię, któregoś dnia pan Pelletier w drodze powrotnej z fabryki pozwolił sobie na wizytę w Café des Colonnes, żeby wypić cinzano.

Ponieważ gości było niewielu, kelner, który przez cały dzień słuchał egipskiej piosenkarki Umm Kulsum, zaproponował mu partyjkę tryktraka.

– Czemu nie – odparł Louis. – Zapytany o zdrowie Angèle, zapewnił: – Ma się już lepiej... Mimo doktora Doueiri szybko stanie na nogi.

Nikt by się nie obywał bez usług tego lekarza, który stał się już instytucją, mimo że nigdy nie wiadano, czy to on, czy choroba były większym zagrożeniem.

– To kretyn... – rzucił kelner.

– Nie, to idiota.

– To to samo.

Pan Pelletier przerwał grę.

– Nie, to nie to samo. Jeśli komuś trzy razy coś wytłumaczysz, a on wciąż nie rozumie, to jest kretyńcem. Ale jeśli na koniec jest przekonany, że zrozumiał to lepiej od ciebie, wtedy masz do czynienia z idiotą.

Kelner lekko się skrzywił.

– W takim razie nie ma wątpliwości, Doueiri to prawdziwy idiota – przyznał.

Po skończonej grze Louis dopił cinzano i zamyślił się. Znał Angèle jak własną kieszeń i wiedział, że potrzebuje pretekstu, by opuścić sypialnię. Wrócił do fabryki i zabrał do domu plik świeżo zapłaconych rachunków.

Angèle otworzyła drzwi.

– Louis! – zawołała przestraszona. – Nie mów mi, że to wszystko zapłaciłeś!

– Ja... Pojadę uregulować płatności – wykrztusił zmieszany i szybko wyszedł z domu.

Pojechał do fabryki (Na Boga, rozmyślał, pedałując, niech to się już skończy!), wypełnił czek i od razu go podarł. Kawałki schował do koperty i położył ją na biurku żony.

Nazajutrz pani Pelletier wróciła do pracy.

Dwa dni później Jean i Geneviève opuścili Bejrut. „Dbaj o siebie”, szepnęła matka do ucha Miśka. Gdy statek odpływał, ujęła męża pod ramię, mówiąc:

– Mam nadzieję, że Geneviève będzie pisała – powiedziała.

A teraz Étienne, pomyślała i przystanąła.

– Indochiny! – zawołała. – Przecież tam jest wojna!

Już tysiąc razy syn jej tłumaczył: tak, jest wojna, ale niezupełnie... Jak jej to powiedzieć?

– To konflikt, mamo.

– Konflikt, jeśli są zabici, nazywa się wojną. – Długo wycierała nos i w końcu uniosła na niego wzrok.

Nawet na szafocie by tego nie przyznała, ale od zawsze uważała Étienne'a za najpiękniejszego z trzech synów. Na usta cisnęły jej się pytania, których – sądząc z jej opuszczonych ramion i zagubionego wzroku – nie zada; odpowiedzi już znała.

• • •

Indochiny, jego przyjaciel Raymond, listy przychodzące od wielu miesięcy...

Kiedy zaprosił go do domu, matka powiedziała: „Ładny chłopiec, rozumiem cię”. Ach, gdyby życie Étienne'a wszędzie było tak proste jak przy niej... Ale nie. I w szkole, i w pracy w banku przeżył tyle upokorzeń, nasłuchiwał się tyłu insynuacji i zniewag...

Był szczupłym chłopcem o jasnokasztanowych włosach i wesołych oczach; miał pewną nonszalancję w sposobie chodzenia, w ruchach, które zdradzały jego zmysłowy, namiętny charakter. Ponieważ nie żywił ambicji zawodowych, mimo smykałki do cyfr zdobył tylko dyplom księgowego.

Istotą jego życia, jak się fatalnie składało, była miłość. Niewielki krąg śmietanki towarzyskiej Bejrutu, pośród której obracali się Pelletierowie, był zbyt cywilizowany, by odrzucić Étienne'a z powodu jego preferencji seksualnych, ale też zbyt mieszczański, żeby zaakceptować go bez podtekstów. Czuł się więc zawsze gdzieś pomiędzy, czego w pewnym sensie miniaturą była jego własna rodzina. Kobiety – matka i Hélène – go uwielbiały. Mężczyźni – François i Jean – lubili go, ale nic więcej. Pozostawał ojciec, najlepsza dla niego publika, u którego wszystko Étienne'owi uchodziło, który kochał go z gwałtownością i nieporadnością wyrażającymi jego bolesną bezsilność. Étienne był istotą „płynną” – Angèle nie znajdowała innego słowa. Sprawiał wrażenie bujającego w obłokach, nigdy nie było wiadomo, w którą podąży stronę. Był idealistą, lecz bez ideałów. Samo życie mu nie wystarczało. To pewnie stąd u niego te miłos-

ne porywy, te uniesienia, tłumaczyła sobie matka. Nieraz, ujmując twarz syna, pytała: „Kiedy zadowolisz się tym, co przynosi ci życie, Étienne?”. Śmiał się i odpowiadał: „Jutro, mamó. Na mur-beton”.

Raymonda poznał rok temu, kiedy ten stacjonował w garnizonie niedaleko Hadathu. Przeżyli sześć miesięcy wielkiej namiętności. Étienne zawsze był chłopcem wesołym, ale matka nigdy jeszcze nie widziała go aż tak szczęśliwego. A potem Raymond wyjechał do Indochin, gdzie miał doczekać do końca kontraktu. Był Belgiem i nie miał ochoty wracać do kraju. Przed wstąpieniem do Legii Cudzoziemskiej (z powodu, którego nigdy Étienne’owi nie zdradził) był nauczycielem. *Tamto już skończone* – napisał do niego kilka tygodni później. – *Kiedy wygaśnie mój kontrakt, chciałbym tu zostać, jest tu sporo możliwości...* Dużo rozmawiali o tym pomysle, rozważali najróżniejsze możliwości, od firmy transportowej po plantację. Wkrótce potem Étienne zaczął szukać pracy w Indochinach, choć bez większych nadziei, ale cztery tygodnie później – aż trudno uwierzyć – otrzymał list z zawiadomieniem, że jego kandydatura została zaakceptowana przez Indochińską Agencję Walutową w Sajgonie.

- Skończy się tak, że złapiesz żółtą febrę – powiedziała matka.
- Wykluczone, mamó, nigdy nie nosiłbym nic żółtego.
- Śmieję się z mnie, śmieję...

Pan Pelletier wykazał więcej entuzjazmu od żony. Utrzymywał jak najlepsze kontakty z domem handlowym Lecoq & d’Arneville w Sajgonie, sprzedaż Mydeł z Lewantu, choć w Indochinach skromna, była jednak nie do pogardzenia. „Étienne spotka się tam zawsze z jak najlepszym przyjęciem”. Żonie, która nie bardzo rozumiała, w czym Lecoq i d’Arneville mieliby okazać się przydatni ich synowi, Louis Pelletier wyjaśnił:

– To kwestia bezpieczeństwa, Angèle. Wzajemnej solidarności Francuzów na obczyźnie. Lecoq to bardzo porządny facet!

Przytulony do matki Étienne roześmiał się.

– W końcu ktoś, kto nazywa się Lecoq, nie może być złym Francuzem, mamó – powiedział.

• • •

Wymijając przeszkody, grupa rozciągnięta jak podczas etapu Tour de France dotarła w końcu do fabryki.

W czasie, kiedy wszyscy przechodzili przez bramę i wkraczali do budynku, pan Pelletier wyciągnął ramiona, objął obiema dłońmi okrągłe uchwyty i szykując się do otwarcia dwuskrzydłowych drzwi wielkiej hali, uradowanym głosem zawołał: „Uwaga, uwaga!”. Zaślepiony własnym entuzjazmem, nie mógł się zdecydować i przedłużał napięcie, istniejące wyłącznie w jego głowie. Angèle uważała, że przesadza. Czwórka dzieci spokojnie czekała – już do tego przywykli.

François przytrzymał się metalowej rampy. Zaledwie wczoraj zszedł na ląd ze statku po dwóch dniach choroby morskiej. Przyjechał zmęczony i wyczerpany; zapachy mydła budziły w nim mdłości.

– Jeśli się nie pospieszy, zacznę posiłek od końca – szepnął do ucha siostry.

Pod groźnym spojrzeniem matki Hélène stłumiła chichot.

Pan Pelletier, odwróciwszy głowę, patrzył z zachłanną miną na swój mały światek.

– I jak? Nikt się nie domyśla? Oto ona!

Była to nowa kadź. Czwarta. Żeliwna. Pani Pelletier pospieszyła do małej miedzianej plakietki umieszczonej u podstawy: *La Belle Otero*.

– Dziwka, wiedziałam! To już nie fabryka mydła, to burdel...

– Mamó... – zaryzykował Étienne.

Ale jego ojciec przeszedł już do następnego etapu, polegającego na szczegółowym objaśnieniu, do czego ta nowa kadź będzie

służyła, a więc omówieniu całego procesu produkcji od początku. Dzieci podążały za przewodnikiem, nikt go nie słuchał.

Jean nie mógł przeszkodzić ojcu, kiedy ten złapał go za ramię, by go za sobą pociągnąć („Chodź, Misiek, spójrz na to, powiesz mi, co o tym myślisz!”) i uczynić pierwszym słuchaczem niekończących się objaśnień.

Kiedy tylko Jean znalazł się w pobliżu fabryki, poczuł narastający niepokój.

Jego żona, mała Geneviève, upudrowana niczym markiza, spoglądając na główną bramę, rzuciła:

– Niezbyt ładna ta zieleń, nie sądzisz?

Jean nie odpowiedział; przełknął ślinę i zmusił się, by wejść do miejsca symbolizującego jego życiową porażkę.

To, że ojciec ciągnął go teraz i oczekiwał jego zdania, było gehenną, która odtwarzała to, co tu przeżył i co skończyło się niechlubną ucieczką.

Od początku pisane mu było przejście rodzinnego interesu. Odkąd się urodził, budowano legendę: firma Pelletier wcześniej czy później stanie się firmą Pelletier i Syn. I tym „synem” miał być on, Misiek, który zresztą nie krzywił się na tę perspektywę. W małej francuskiej społeczności w Bejrucie zasadą było, że dzieci przejmowały interes rodziców, najchętniej najstarsi synowie, jak w monarchii.

W przeciwieństwie do tego, jak było przyjęte w ich środowisku, Angèle i Louis Pelletierowie nie chcieli zapisać dzieci do szkół wyznaniowych: chłopców do jezuitów, a Hélène do nazaretanek. Zależało im na placówce świeckiej i cała czwórka poszła do liceum francusko-libańskiego, gdzie Misiek miał duże problemy z nauką. Z najwyższym trudem zdał małą i dużą maturę, co nie zachwiało wiarą Louisa Pelletiera w przyszłość syna. A że szef fabryki powinien się jego zdaniem znać na technologii produkcji, skierował Miśka na studia ścisłe. Na chemię. To w tym momencie wszystko

zaczęło się komplikować. Jean nie był ani bardzo dobrym studentem, ani nawet dobrym – był przeciętny. Nawet wtedy ojca nie zaalarmowały jego wyniki, regularnie oceniane jako „słabe” lub „niezadowolające”. W tej prywatnej uczelni wysokość czesnego oraz status społeczny rodziców, czyli klientów, nie pozwalały kadrze pedagogicznej na surowsze czy bardziej realistyczne komentarze, które pana Pelletiera i tak by nie wzruszyły. „Studia to jedno, mydło to co innego”, głosił z niezachwianą wiarą. Był przekonany, że po skończeniu uczelni i kilku miesiącach stażu na różnych etapach produkcji syn stanie się w tej dziedzinie ekspertem.

Wystarczyło krótko poobserwować Jeana, by ocenić stopień ojcowskiego zaślepienia.

Jean był chłopcem dość tęgim, ociężałym, choć zaskakująco silnym fizycznie, wycofanym, skłonny do marzeń i niezbornym, co w dużej mierze wynikało z jego nieśmiałości. Już jako niemowlę był pyzaty; ojciec upatrywał w nim podobieństwa do komiksowego Ribouldingue’a, co Angèle uważała za obraźliwe, niemniej przywido Misiek przy nim zostało. Chłopiec niczym się nie pasjonował, nic go nie interesowało, zgodził się więc iść wytyczoną ścieżką, ale droga wydawała mu się długa i okropnie rozczarowująca, a był to dopiero przedsmak tego, co go czekało, ponieważ gdy już otrzymał dyplom (nigdy nie będzie wiadomo, ile pan Pelletier za niego zapłacił), posłano go do fabryki z zadaniem, by został specjalistą.

– Nie jestem pewna, czy to dla niego dobre miejsce – zaryzykowała Angèle. – Zastanawiam się, czy rzeczywiście ma w sobie żyłkę techniczną.

Jej mąż nie tracił jednak wiary.

– Kiedy odkryje, czym naprawdę jest ta fabryka, wciągnie go to – powiedział. – Niemożliwe, żeby było inaczej.

Ale jeśli pan Pelletier, zjawiając się w fabryce we wczesnych godzinach porannych, wdychał z lubością wonie olejów i sody –

„zapach zawodu” – to Jean pozostawał nieczuły na uroki tego przemysłu. Nic więc nie zapamiętywał, niczego się nie uczył.

Był rok 1946.

W latach trzydziestych firmie Pelletier udało się eksportować produkty aż do Europy. Na Mydła z Lewantu, które stały się marką, był ciągły popyt. Po wojnie przedsiębiorstwo masowo zatrudniające ludzi dosłownie tonęło w powodzi zamówień. Fabryka od początku mieściła się na rue de la Marseillaise, naprzeciwko magazynów urzędu celnego, gdzie było trochę za ciasno. Kiedy przyległy teren zwolnił się, pan Pelletier od razu się na niego rzucił.

– Jesteś pewny, że nie przepłacasz? – niepokoila się żona.

– To inwestycja, Angèle! W niespełna dwa lata nam się zwróci!

Po tym, jak Jean odbył kilkutygodniowy staż na różnych etapach produkcji, gdzie bynajmniej nie zabłysnął, ojciec powierzył mu stworzenie skrzydła, które będzie etapem decydującym dla przyszłości firmy. Skoszono żywopłoty oddzielające pozyskany teren od dziedzica fabryki, snuto księżycowe plany.

Jeana, mianowanego dyrektorem generalnym, od razu to przerosło.

Miał na koncie niewiele złych decyzji, bo nie podjął właściwie żadnej. Nigdy nie wiedział, co powinno zostać zrobione. Pocą się, z półotwartymi ustami patrzył na plany, lecz cyfry nic mu nie mówiły, a wykresy były czarną magią. Majster robił, co chciał; Jean nigdy nie potrafił zadać mu pytania czy wystąpić z jakimś żądaniem.

Pewnego dnia pan Pelletier zorientował się, że powierzchnia hali nijak się ma do urządzeń, które ma pomieścić. To, co zbudowano, trzeba zburzyć, poszerzyć fundamenty i na nowo budować. To był pierwszy epizod z całej serii, bo potem okazało się, że rampa rozładunkowa jest niewystarczająco głęboka, a pomieszczenia suszarni są niewłaściwie usytuowane, co uniemożliwiało wykorzystywanie wiatru do przyspieszenia procesu; problemy

następowały jedne po drugich jak perły w naszyjniku. Kiedy pojawiała się jakaś kwestia, Jean mówił: „Pomyślę o tym” i więcej do tego nie wracał. Kiedy kwestia stawała się problemem, wołał: „Później do tego wrócimy!”, udając człowieka zajętego znacznie ważniejszymi sprawami. Zamykał się w gabinecie i całymi dniami wyłamywał palce, świadomy, że na korytarzu na niego czekają. Odrętwiały, zwlekał z wyjściem do przyzwoitej godziny i wtedy, biorąc czekających z zaskoczenia, z rozmachem otwierał drzwi i szedł wielkimi krokami do schodów, a potem do swojego samochodu, rzucając: „Widzicie przecież, że się spieszę!”. Wiedział, że powinien podjąć jakąś decyzję, ale nawet jeśli cudem chwycił, w czym problem, nie miał pojęcia, jak go rozwiązać. Pracownicy nie przestawali domagać się wytycznych. Czasami, zewsząd naciskany, jak demokratyczny przywódca żądał od wielu osób opinii, po czym nagle decydował się na wyjście, które nieodmiennie okazywało się najgorsze z możliwych. Jego ojciec po cichu załatwiał to, co najpilniejsze, i nadal nie tracąc wiary, często z zapalczywą dumą odpowiadał: „Przecież wiecie, że należy się z tym zwrócić do Jeana!”. Za kulisami zrezygnowany personel mówił: „Każą się zwrócić do panicza Miśka”.

Za dnia Jean dygotał, w nocy budził się spanikowany, wydany na pastwę dławiących go lęków. Wstawał, biegł do łazienki i wymiotował do sedesu. Przygryzał od wewnątrz policzki. Zaczął drapać paznokciami przedramiona, potem sięgnął po maszynkę do golenia. Rękawy koszuli miał zawsze spuszczone po nadgarstki; przypuszczano, że jest zmarzluchem. Wieczorami słuchał ojca rozprawiającego o nowym pomysle z proszkiem do prania. Nie potrafił go znienawidzić i obracał nienawiść przeciwko sobie; często miewał myśli samobójcze. Z nadejściem nocy dopadała go świadomość własnej nieudolności. Kiedy zostawał sam, walił głową o ścianę. Były to głuche, regularne uderzenia, jak stukot tłoka jakiejś uporczywej maszyny. Nikt tego nie słyszał, bo tylko jego

pokój wychodził na dziedziniec; wszystkie pozostałe sypialnie – rodziców, braci i siostry – znajdowały się po drugiej stronie korytarza. Siedział na łóżku i całymi godzinami uderzał powoli tyłem czaszki o ścianę, dopóki nie zmorzył go sen.

Projekt rozbudowy fabryki ugrzązł i odbił się na produkcji. Współzycie personelu z robotnikami wznoszącymi nowy budynek wywoływało zakłócenia. Metalowe szyny położono tam, gdzie miały być składowane beczki z olejem, ciężarówki jeździły w kółko, szukając miejsca do rozładunku. Drewniane trociny porwane wiatrem zmarnowały wiele ton zapachowego mydła, które trzeba było zniszczyć. Wiedząc, że człowiek przedstawiany wszędzie jako przyszły szef jest nieudolny, majstrowie po cichu złorzeczyli, robotnicy niepokoiли się i wszyscy modlili się o zachowanie pracy. Przedsiębiorstwo zaczynało coraz bardziej kuleć. Nastanie „monsieur Jeana” nie tylko uniemożliwiło uczynienie wielkiego kroku naprzód, na co liczył jego ojciec, ale też sprawy szły coraz gorzej i nie widać było temu końca.

Trwało to prawie rok – rok niepokoju, tortur i grozy, do czego doszło jeszcze nieszczęsne małżeństwo z Geneviève.

Jako jedyna z czterech córek naczelnika poczty Geneviève nie grzeszyła urodą; pozostałe siostry były czarujące, ta wpadka genetyczna wydawała się więc zaskakująca i nikt nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Szczerze mówiąc, Geneviève nie była tak naprawdę brzydka, ale przy siostrach jej banalność zakrawała na brzydotę. Miała trochę toporne rysy twarzy, spojrzenie bez wyrazu i dość ociężałą sylwetkę, której poszczególne części zlewały się ze sobą. Lubiła się uśmiechać, co mogłoby ją uratować. Ale przez to, że uśmiechała się ciągle, cokolwiek się działo, niezależnie od sytuacji, ten niemal zastygły uśmiech, który przyznawał wszystkim rację, sprawiał, że człowiek czuł się nieswojo.

Możliwe, że w ramach rewanżu za swoją niewdzięczną pozycję w rodzinie żywiła szalone ambicje. Pewnego dnia będzie

bogata. Nie bardzo było wiadomo, jakim sposobem zamierzała to osiągnąć, dopóki nie poślubiła Jeana, przyszłego właściciela firmy Pelletier, którego długo nie chciała nazywać Miśkiem, ponieważ uwłaczała jej pospolicie tego przydomku. Geneviève, pracownica poczty pod rozkazami ojca, z inteligencją ograniczoną do spraw codzienności, dość okrutna, jak często ludzie skryci, korzystała jednak z przewagi wobec innych młodych dziewcząt z francuskiej społeczności Bejrutu, polegającej na pewnej umiejętności postępowania. Jean był prawiczkim, jakich mało. Na drugiej randce położyła dłoń na jego rozporoku – młody człowiek aż się skulił z zaskoczenia – po czym klęcząc za krzakami, sumiennie mu obciągnęła. Misiek wrócił do domu wykończony i pokonany.

Cztery miesiące później wzięli ślub. Wtedy Jean dowiedział się – był jedynym niezorientowanym – że Geneviève cieszy się pewną reputacją. W dzielnicy niewielu było jego rówieśników, którzy nie skorzystali z kwadransa za krzakami; wielu regularnie tam wracało i chętnie dzielili się tą poufną informacją.

A że specjalnością Geneviève było fellatio, szła do ślubu jako dziewica. Podobnie jak Misiek. Od tej chwili ich związek stał się skomplikowany. W wyniku krępujących zbliżeń, niepewnych penetracji, litościwych orgazmów nie dowiedzieli się, w którym konkretnie momencie i jedno, i drugie stracili dziewictwo. Pozostało im w pamięci kłopotliwe współżycie, tym rzadsze, że według Geneviève mąż, który nie zdołał przejąć rodzinnego interesu, nie wywiązał się ze swojej części kontraktu małżeńskiego. Zdarzało jej się jeszcze uklęknąć przed Jeanem, ten jednak wątpił, by robiąc to, myślała o nim. Geneviève obciągała mu tak, jak przegląda się album ze zdjęciami. Miesiąc po ślubie nie mieli już w ogóle żadnych zbliżeń.

I nigdy już nie będą mieli.

Monsieur Jean w fabryce mydła miał nie większe sukcesy niż Misiek kawaler. Sprawy szły coraz gorzej. W wyniku zakłóceń

w produkcji i dostawach niezadowoleni klienci grozili, że będą zaopatrywać się gdzie indziej, a robotnicy z długim stażem mówili o odejściu. W końcu pani Pelletier zdecydowała się przeciwstawić mężowi.

Wszystkim ulżyło.

Pan Pelletier zrobił urażoną minę i wcielił się w nową rolę – męża zmuszonego przez żonę do podjęcia godnych ubolewania decyzji. Zabrał się do regulowania problemów czekających na rozwiązanie i ponad rok zajęło mu wyciągnięcie firmy z tarapatów oraz wzniesienie skrzydła fabryki. Nowa hala, niczym krzywo rosnąca roślina, zachowała błędy konstrukcyjne przypominające straszny czas delfinatu tym wszystkim, którzy przetrwali okres, kiedy rządził – jeśli można tak to nazwać – monsieur Jean. Ojciec, przekonany, że spotka się z upokarzającą odmową, nie zaproponował ani Étienne’owi, ani François „kontynuowania dzieła”, a Héléne, która była dziewczyną, w ogóle nie wchodziła w rachubę. Sprawdzając termometry u podstawy wielkich kadzi, pan Pelletier zaczął medytować o losie rodzinnych firm ogólnie, a w szczególności o przyszłości własnej.

Jean, wolny, lecz zawstydzony, postanowił opuścić Liban: jedziemy do Paryża! Geneviève, choć bardzo rozczarowana mężem, była jednak szczęśliwa, że wyjeżdżają. Jej ojciec, pan Cholet, naczelnik poczty, zapewniał, że powoła się na dwustronne porozumienia, by córkę wcielono do personelu administracji francuskiej, co nastąpi nie wcześniej niż za co najmniej kilka miesięcy. Całe szczęście, bo uwielbiała nic nie robić. Zresztą ani Jean, ani ona nie wyobrażali sobie, by nadszedł dzień, kiedy będzie zmuszona pracować – czyż szanujący się mąż nie powinien być zdolny do utrzymania rodziny, bez zmuszania żony do wzięcia posady? Tym bardziej że próżnowanie w Paryżu było dla Geneviève perspektywą bardzo ekscytującą. I, żeby wszystko było jasne, Misiek miał jeszcze inny powód, by wyjechać z kraju: dwa tygodnie temu

zamordował trzonkiem motyki dziewiętnastoletnią dziewczynę i bał się, żeby nie dopadła go policja.

Pan Pelletier, głęboko zasmucony, znalazł synowi posadę przedstawiciela handlowego u dawnego paryskiego przyjaciela, pana Couderca. Praca nie była najlepiej opłacana i Geneviève śmiertelnie się nudziła, bo przy braku pieniędzy życie w Paryżu zupełnie nie spełniało jej oczekiwań. Wszystko, co miałyby ochotę kupić, znajdowało się na czarnym rynku i nie stać jej było na to. Kochała beczynność, ale teraz zaczęła liczyć na zatrudnienie na paryskiej poczcie, na powrót do życia towarzyskiego, którego, jak się skarżyła, zamknięta w czterech ścianach, była pozbawiona. Pragnęła pracy, żeby dodatkowo poniżyć nieudolnego męża, który nie był w stanie zarobić na życie dla nich dwojga.

Kiedy zbliżył się termin pielgrzymki Pelletierów, Jean, mimo że ojciec przysłał bilety na statek, odmówił powrotu do Bejrutu, „zwłaszcza na tę idiotyczną rocznicę”. Nie mówił tego, ale teraz to miasto budziło w nim lęk. Nie uwzględnił jednak woli Geneviève, która miała chęć się tam wybrać.

– Chcę się zobaczyć z rodzicami!

– Przecież ich nie znosisz! W ciągu sześciu miesięcy napisałaś do nich ledwie dwa razy!

– Możliwe, ale to moi rodzice! No i są siostry...

– Tak samo! Kiedy twoja siostra urodziła dziecko, zaproponowałem ci, żebyś coś wysłała, na co odpowiedziałaś: „Do diabła z nią!”.

– I co z tego?! To moje siostry.

Jeana zaskoczyła jej stanowczość.

– Tak czy inaczej, nie ma o tym mowy – zdecydował. – Zostajemy w Paryżu.

Geneviève skrzyżowała ręce na piersi i rozpoczęła oblężenie.

Potrafiła uprzykrzyć mężowi codzienne życie, na co opadały mu ręce. To było jak strajk generalny. Żadnych zakupów, sprzątanania,

żadnych wyjść; nie podlewała kwiatów, nie odbierała poczty, nie otwierała nawet okien. Od samego rana tkwiła nieruchomo u szczytu stołu, milcząca, wystrojona, umalowana i uśmiechnięta, w typowej dla niej pozycji. (Kiedyś Étienne powiedział: „Misiek powinien wziąć ją razem z jedną z jej sióstr, robiłyby za podpórkę do książek”).

Rano Jean sam robił sobie kawę. Geneviève, złożywszy pulchne rączki na ceratowym obrusie, patrzyła, jak się krząta. Wieczorem zastawał ją na tym samym miejscu, zupełnie jakby przez cały dzień się nie ruszyła. Spiżarnia była kompletnie pusta. Wkrótce zabrakło wszystkiego.

Wyczerpany Jean zdecydował się wystąpić do szefa o urlop.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).